ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. Niedziela 14 października 1934 r. Nr. 42

OGŁASZAMY SUBSKRYPCJĘ NA DRZEWORYTY

(Dalszy ciąg reprodukcyj na stronie 3-ciej, objaśnienia i warunki subskrypcji na stronie 2-giej)



BOGNA KRASNODĘBSKA-GARDOWSKA SIECI
Wymiary oryginału 24.5 × 34 cm. — Cena 10 zł.



LUDWIK TYROWICZ MOTYW Z RZYMU
Wymiary oryginału 24 × 17 cm. — Cena 8 zł.



TADEUSZ KULISIEWICZ KOBIETA Z RÓŻAŃCEM
Wymiary oryginału 14 × 28 cm. — Cena 8 zł.



LUDWIK GARDOWSKI OKNO
Wymiary oryginału 18 × 24 cm. — Cena 10 zł.



EDWARD MANTEUFFEL WIDOK LUCYNA
Wymiary oryginału 11.5 × 9 cm. — Cena 6 zł.



EDMUND BARTŁOMIEJCZYK W LANY PONIEDZIAŁEK
Wymiary oryginału 30 × 31 cm. — Cena 10 zł.



STANISŁAW OSTOJA-CHROSTOWSKI UCIECZKA DO EGIPTU
Wymiary oryginału 17.5 × 18.5 cm. — Cena 8 zł.

Ogłaszamy II-gą subskrypcję na drzeworyty

Po roku

Gdy rok temu ogłosiliśmy na łamach „ABC" pierwszą subskrypcję na drzeworyty, ani spodziewaliśmy się, że skromnie pomyślana akcja nasza przybierze tak wielkie rozmiary. Rzecz wyszła z polemiki prasowej.

— Dlaczego polskie drzeworyty są tak drogie? — postawiono pytanie.

— Muszą być drogie — odpowiedzieli graficy —bo jest mały zbyt, bo nasze społeczeństwo widocznie nie odczuwa potrzeby grafiki.

— A może tylko zubożałe społeczeństwo nie może sobie pozwolić na wysokie ceny polskiej grafiki? — wyraziliśmy wątpliwość. — Czy nie wartoby spróbować cen obniżyć?

— Doskonale! — brzmiała odpowiedź grafików. — Moglibyśmy bardzo znacznie obniżyć ceny, gdybyśmy wiedzieli, że zwiększy się sprzedaż, gdybyśmy mieli zagwarantowane, że sprzedamy większą ilość odbitek każdego drzeworytu.

— No, to ogłaszamy subskrypcję! — zaproponowała redakcja ABC. — Może wśród czytelników znajdą się chętni nabywcy przy obniżonej cenie. A jeśli się znajdą, to transakcja będzie mogła dojść do skutku.

I subskrypcja została ogłoszona. Dwunastu znakomitych grafików zadeklarowało gotowość sprzedaży drzeworytów po cenie obniżonej blisko pięciokrotnie (od 6 do 10 zł., gdy na wystawach ceny wahają się od 30 do 50 zł.), ale pod warunkiem, że na każdy drzeworyt zgłosi się conajmniej 20 nabywców.

Uda się, czy nie uda?

Rezultaty akcji przeszły najśmielsze oczekiwania. Nietylko, że wszystkie drzeworyty zostały w subskrypcji pokryte, ale większość drzeworytów została pokryta kilkakrotnie. Ogółem na skutek naszej akcji zamówili czytelnicy nasi 1638 drzeworytów, z czego Warszawa dała 959 zamówień, a prowincja 679. Połowa spośród grafików dostała powyżej setki zamówień, a mianowicie: Bartłomiejszyk 323, Cieślewski 310, Skoczylas 243, Chrostowski 193. Goryńska 152 i Kulisiewicz 102. Pokaźne również ilości drzeworytów zamówiono u Konarskiej, Duninówny, Wąsowicza, Gardowskiej, Gardowskiego i Podoskiego.

Subskrypcja zeszłoroczna udowodniła, że między społeczeństwem a grafiką stała dotąd murem tylko wysoka cena, i że przy obniżeniu ceny, przy dostosowaniu jej do kieszeni zubożałego inteligenta, a zarazem przy pewnej propagandzie prasowej — grafika polska może liczyć na zbyt olbrzymi.

Subskrypcja, ogłoszona przez „ABC" udostępniła grafikę szerokim rzeszom naszych czytelników, rozbudziła zamiłowanie do drzeworytnictwa, ba, w niejednym obudziła żyłkę kolekcjonerską.

— Kiedy ogłosicie drugą subskrypcję? — pytano nas niejednokrotnie w ciągu ostatnich miesięcy. Postanowiliśmy więc po upływie roku powtórzyć zeszłoroczną akcję.

Druga subskrypcja

Przystępujemy do niej bogaci w doświadczenia zeszłoroczne, które pozwoliły nam tegoroczną subskrypcję przygotować znacznie lepiej i usprawnić.

Podobnie, jak w zeszłym roku, subskrypcję organizujemy w ścisłem porozumieniu ze Stowarzyszeniem „Ryt", grupującem najwybitniejszych polskich drzeworytników. Wszyscy graficy, których reprodukcje zamieszczamy dziś w numerze, są członkami „Rytu"

Znajdą czytelnicy wśród nich starych znajomych z zeszłorocznej subskrypcji. Niestety, brak już twórcy współczesnego drzeworytnictwa polskiego, ś. p. Władysława Skoczylasa, który osierocił grafikę naszą przed kilku miesiącami. Jego drzeworyty, które czytelnicy nasi otrzymali podczas zeszłorocznej subskrypcji, były jednemi z ostatnich prac, podpisanych przez wielkiego artystę przed śmiercią.

Spośród artystów, którzy brali udział w zeszłorocznej subskrypcji, do drugiej subskrypcji zgłosili ochotnie swój udział prof. Edmund Bartłomiejczyk, Stanisław Ostoja Chrostowski, Tadeusz Cieślewski, Marja Dunin, Bogna Gardowska - Krasnodębska, Ludwik Gardowski, Wiktorja Goryńska, Tadeusz Kulisiewicz i Wiktor Podoski. Brak dwóch osób (Janiny Konarskiej i Wacława Wąsowicza), do których również zwróciliśmy się, tłumaczy się bądź to nieposiadaniem gotowych prac, odpowiadającym warunkom subskrypcji, bądź też nieobecnością w Warszawie. Natomiast biorą w tegorocznej subskrypcji udział znakomity grafik Stefan Mrożewski i świetny drzeworytnik Ludwik Tyrowicz, którzy w zeszłym roku spowodu nieobecności w Warszawie nie mogli wziąć udziału w naszej akcji, oraz trzech wybitnych grafików, nowoprzyjętych członków „Rytu": Salomea Hładki, Edward Manteuffel i Konstanty Sopoćko.

Ogółem więc w subskrypcji tegorocznej bierze udział czternastu artystów.

Warunki subskrypcji

Każdy z grafików zgłosił do subskrypcji jeden drzeworyt. Reprodukcje czternastu drzeworytów zamieszczamy na 1-ej i 3-ciej stronie dzisiejszego numeru „ABC literacko - artystycznego". Pod każdą reprodukcją znajduje się nazwisko autora, tytuł drzeworytu, cena, oraz wymiary oryginału w centymetrach, bo drzeworyty zostały przeważnie bardzo znacznie zmniejszone w reprodukcji. W właściwych wymiarach oryginału należy się orjentować z cyfr. podanych w podpisie.

Każdy czytelnik może z reprodukcyj wybrać sobie jeden, lub więcej drzeworytów i zapomocą kuponu, zamieszczonego w dzisiejszym numerze (lub kilku kuponów, wyciętych z kilku numerów), zadeklarować gotowość ich nabycia. Transakcja dojdzie do skutku, gdy na dany drzeworyt zgłosi się conajmniej 20 nabywców, bo dopiero ta cyfra umożliwia obniżkę ceny, pozwalając artyście na pokrycie własnych kosztów, materjału i pracy.

Codziennie ogłaszać będziemy dla orjentacji czytelników liczbę zgłoszeń, które padły na poszczególne drzeworyty.

Kupony nadsyłać można (lub składać w redakcji), począwszy od dnia dzisiejszego. Subskrypcja trwać będzie **tylko przez tydzień,** t. j. do dnia 22 b. m. Po tym terminie zgłoszeń przyjmować już nie będziemy. Obniżka cen drzeworytów, zadeklarowana przez artystów, ważna jest tylko na czas trwania subskrypcji.

Obniżka ceny jest bardzo znaczna. Wszystkie drzeworyty, które są przedmiotem subskrypcji, kosztują przez czas trwania naszej akcji 6 — 10 zł. (na wystawach kosztują normalnie 30 — 50 zł.). Należy tu dodać, że wobec sukcesu zeszłorocznej subskrypcji, tego roku zgłosili przeważnie artyści drzeworyty znacznie większe, niż zeszłego roku, a po tej samej cenie.

Zamówione kuponami drzeworyty będą do odebrania dla czytelników warszawskich, bądź też wysłane zostaną czytelnikom pozawarszawskim **od dnia 1-go listopada.** Czytelnicy pozawarszawscy otrzymają drzeworyty za pobraniem pocztowem, z doliczeniem kosztów przesyłki i opakowania. Czytelnicy warszawscy odebrać będą mogli zamówione drzeworyty w redakcji, po opłaceniu zadeklarowanej sumy. Każdy drzeworyt będzie własnoręcznie podpisany przez autora.

W obecnej fazie subskrypcji redakcja **pieniędzy nie przyjmuje,** bowiem dojście do skutku transakcji zależne jest od zgłoszenia się conajmniej 20 osób na poszczególny drzeworyt.

Na jednym kuponie można zgłaszać **tylko jeden drzeworyt.** Kto pragnie zgłosić gotowość nabycia większej ilości drzeworytów (a każdy ma prawo!), musi to uczynić **na kilku kuponach,** bądź to nabywając większą ilość dzisiejszego numeru, bądź też oczekując na następne kupony, które zamieszczać będziemy w „ABC" codziennie przez tydzień.

Wystawa

Wszystkie drzeworyty, które reprodukujemy w numerze, są od dziś wystawione w redakcji ABC (ul. Nowy Świat 22, w podwórzu, trzecie wejście w lewej oficynie). Wystawa dziś, w niedzielę, otwarta jest **tylko od godz. 12-ej do 2-ej** począwszy zaś od jutra (poniedziałek) będzie otwarta codziennie **tylko od godz. 1-ej do 6-ej popołudniu.** Wstęp, oczywiście, bezpłatny.

Drzeworyty wystawione są w takiej formie (w passe-partout), w jakiej otrzymają je zamawiający.

14-tu najwybitniejszych grafików

zgłosiło swe drzeworyty na subskrypcję

W akcji „ABC" biorą udział najwybitniejsi drzeworytnicy polscy, zrzeszeni w stowarzyszeniu „Ryt". Oto ich lista:

EDMUND BARTŁOMIEJCZYK

Artysta o światowej sławie. Wychowanek krakowskiej Akademji Sztuk Pięknych, którą ukończył w r. 1912, b. docent wydziału architektury Politechniki Warszawskiej, obecnie (od r. 1930) profesor grafiki użytkowej w warszawskiej Akademji Sztuk Pięknych. Wraz z Skoczylasem jest współtwórcą współczesnego drzeworytnictwa polskiego.

W latach 1912—1920 otrzymał około 35 nagród na konkursach publicznych z dziedziny architektury, sztuki stosowanej i grafiki. Na Międzynarodowej Wystawie Sztuki Dekoracyjnej w Paryżu (1928) otrzymał dwa złote medale za plakaty i ilustracje książek, oraz dwa złote medale za prace graficzne, wystawione na P. W. K. w Poznaniu (1929). Jest członkiem honorowym Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych w Budapeszcie. Słynne są jego ilustracje książek (n. p. „Popiołów" Żeromskiego), a ryciny jego znajdują się w wielu muzeach zagranicznych.

Na subskrypcję w „ABC" zgłosił prof. Bartłomiejczyk drzeworyt p. t. „W Lany Poniedziałek", obniżając cenę do 10 zł.

STANISŁAW OSTOJA-CHROSTOWSKI

Jeden z najwybitniejszych grafików polskich. Wychowanek warszawskiej Akademji Sztuk Pięknych (prof. Skoczylasa), poświęcił się specjalnie drzeworytnictwu. Ilustruje szereg książek (m. in. „Święto kawalerji w Krakowie", „Księga ku czci poległych lotników"). Pracuje przeważnie dla zagranicy, gdzie jest szeroko znany, ostatnio dostał zamówienie na opracowanie w drzeworycie bibljofilskiego wydania „Pana Tadeusza" dla Limited Edition Club w New Yorku.

Otrzymał nagrody na międzynarodowej wystawie drzeworytów w Chicago (1931), na miedzynarodowej wystawie w Los Angeles (1931), „mention honorable" w Los Angeles (1932) oraz nagrodę Ministerstwa W. R. i O. P. oraz zaszczytne wyróżnienie na Międzynarodowej Wystawie Drzeworytów w Warszawie (1933).

Na subskrypcję w „ABC" zgłosił Chrostowski drzeworyt „Ucieczka do Egiptu", nagrodzony w Chicago i zakupiony do wielu muzeów zagranicznych, obniżając jego cenę do 8 zł.

TADEUSZ CIEŚLEWSKI (syn)

Czołowy grafik polski, wychowanek wydziału architektury Politechniki Warszawskiej oraz Akademji Sztuk Pięknych w Warszawie (rzeźba u Wittiga i grafika u Skoczylasa). Wystawia w kraju i zagranicą. Ilustruje szereg książek („Fiorenza", „Pieśń o rynku i zaułkach" i in.). Jego akwaforty i drzeworyty z starej Warszawy cieszą się dużą sławą. Jest również publicystą i krytykiem artystycznym, ogłosił szereg prac drukiem i szereg artykułów w czasopismach fachowych.

Otrzymał nagrody w „Salonach Grafiki", na Międzynarodowej Wystawie w Los Angeles, na Międzynarodowej Wystawie Drzeworytów w Warszawie, na konkursie na portret Prezydenta i t. d.

Cieślewski zgłosił na subskrypcję w „ABC" drzeworyt „Stare Miasto", obniżając jego cenę do 7 zł.

MARJA DUNIN

Świetna graficzka, wychowanka warszawskiej Akademji Sztuk Pięknych (prof. Skoczylasa) zdobywczyni nagrody w Salonie Grafiki 1930. Ryciny jej zakupione są do Muzeum Śląskiego i Galerji w Ottawie (Kanada).

Duninówna zgłosiła na subskrypcję w „ABC" drzeworyt „Bez pracy niema kołaczy", obniżając jego cenę do 8 zł.

BOGNA GARDOWSKA-KRASNODĘBSKA

Czołowa graficzka polska, wychowanka warszawskiej Akademji Sztuk Pięknych (prof. Skoczylasa). Otrzymała srebrny medal za prace graficzne na P. W. K. w Poznaniu (1929). nagrodę miasta Warszawy w I Salonie IPS-u (1930), nagrodę honorową w II Salonie IPS-u (1931), nagrodę miasta Warszawy na wystawie Rytu (1932), srebrny medal za cykl drzeworytów „Droga krzyżowa" na Międzynarodowej Wystawie Religijnej w Padwie (1932). oraz nagrodę Funduszu Kultury Nar. na Międzynarodowej Wystawie Drzeworytu w Warszawie (1933).

Gardowska zgłosiła na subskrypcję w „ABC" drzeworyt „Sieci", nagrodzony na II-gim Salonie IPS-u, obniżając cenę do 10 zł.

LUDWIK GARDOWSKI

Jeden z najznakomitszych grafików polskich, twórca pierwszej polskiej czcionki zdobniczej, za którą otrzymał złoty medal na Międzynarodowej Wystawie Sztuk Dekoracyjnych w Paryżu w roku 1926 i na tejże wystawie dyplom Grand Prix za plakat. Przez szereg lat był współredaktorem miesięcznika „Grafika Polska". Od r. 1924 do 1929 prowadził wykłady kompozycji książki na Wydziale Grafiki w Akademji Sztuk Pięknych w Warszawie i od r. 1929 prowadzi wykłady liternictwa i grafiki użytkowej w Akademji Sztuk Pięknych w Krakowie.

Gardowski zgłosił na subskrypcję w „ABC" drzeworyt „Okno", obniżając jego cenę do 10 zł.

WIKTORJA GORYŃSKA

Świetna graficzka, wychowanka Warsz. Akademji Szt. Pięknych (prof. Skoczylasa), nagrodzona w „Salonie Grafiki" Pols. Zw. Art. Graf. Na Międzynarodowej Wystawie Drzeworytów w Warszawie otrzymała „mention honorable". Ryciny jej zostały zakupione do zbiorów publicznych w Anglji i Ameryce. Ostatnio, na Międzynarodowej Wystawie Sztuki Kobiecej w Florencji zdobyła złoty medal za drzeworyt „Pieta".

Ten właśnie nagrodzony złotym medalem drzeworyt zgłosiła Goryńska na subskrypcję w „ABC" obniżając jego cenę do 10 zł.

SALOMEA HŁADKI

Doskonała graficzka, wychowanka warszawskiej Akademji Sztuk Pięknych. Wystawiała na wielu wystawach swe prace graficzne. Na subskrypcję w „ABC" zgłosiła drzeworyt „Widok Gerlachowej", obniżając jego cenę do 6 zł.

TADEUSZ KULISIEWICZ

Jeden z najwybitniejszych grafików polskich, wychowanek warszawskiej Akademji Sztuk Pięknych. W roku 1928 zdobył I-szą nagrodę w Salonie Grafiki, w następnym roku zdobył pierwszą nagrodę miasta Krakowa na wystawie krakowskiej i srebrny medal na P. W. K. w Poznaniu, w roku 1933 na wystawie Biennale w Wenecji jego drzeworyty zakupił król włoski. Ostatnio zdobył Kulisiewicz najwyższe odznaczenie na Międzynarodowej Wystawie Drzeworytów w IPS-ie. Słynne są jego teki drzeworytów z Szlembarku.

Kulisiewicz zgłosił na subskrypcję w „ABC" drzeworyt „Kobieta z różańcem", obniżając jego cenę do 8 zł.

STEFAN MROŻEWSKI

Jeden z najznakomitszych grafików polskich, wychowanek warszawskiej Akademji Sztuk Pięknych (prof. Skoczylasa). Od roku 1924 przeniósł się na stałe do Paryża, obecnie mieszka stale w Amsterdamie. Drzeworytnik sławy europejskiej. Ilustrował szereg ksiąžek (m. in. „Don Kichota).

Otrzymał złoty medal na PWK w Poznaniu, medal bronzowy w Zachęcie, szereg nagród w Salonach Grafiki, najwyższe odznaczenie na Międzynarodowej Wystawie Drzeworytów w Warszawie.

Na subskrypcję w „ABC" przysłał Mrożewski z Amsterdamu drzeworyt „Madonna", obniżając jego cenę do 10 zł.

EDWARD MANTEUFFEL

Świetny grafik, wychowanek warszawskiej Akademji Sztuk Pięknych. Na subskrypcję w „ABC" zgłosił drzeworyt „Widok Lucyna", obniżając jego cenę do 6 zł.

WIKTOR PODOSKI

Czołowy grafik polski, wychowanek warszawskiej Akademji Sztuk Pięknych (prof. Tichego i prof. Skoczylasa). Otrzymał szereg odznaczeń na konkursach graficznych (konkurs na portret Prezydenta, konkurs na portret biskupa bibljofila Załuskiego, konkurs na temat sportowy). Otrzymał najwyższe odznaczenie honorowe na Międzynarodowej Wystawie Drzeworytów w Warszawie oraz nagrodę Ministerstwa W. R. i O. P. (1933). Prace jego znajdują się w wielu muzeach i zbiorach zagranicznych. Jest również publicystą i krytykiem artystycznym. Opublikował szereg prac drukiem (m. in. „Początki drzeworytu"). Pierwszy wprowadził w Polsce technikę rylca wielokrotnego. Od r. 1928 jest profesorem grafiki w Szkole Zdobnictwa Muzeum Rzemiosł i Sztuki Stosowanej.

Na subskrypcję w „ABC" zgłosił Podoski drzeworyt „Kopanie szparagów", obniżając cenę do 8 zł.

KONSTANTY M. SOPOĆKO

Świetny grafik, wychowanek Warszawskiej Akademji Szt. Pięknych (prof. Skoczylasa i Lenarta). Otrzymał nagrodę na międzynarodowej wystawie exlibrisu w Los Angeles.

Na subskrypcję w „ABC" zgłosił Sopoćko drzeworyt „Przekupka", obniżając jego cenę do 9 zł.

LUDWIK TYROWICZ

ŚWIETNY grafik, wychowanek Akademji Sztuk Pięknych w Warszawie (prof. Skoczylasa), wystawiał na szeregu wystaw w kraju i zagranicą. Obecnie osiedlił się we Lwowie, gdzie bierze żywy udział w życiu organizacyj artystycznych.

Na subskrypcję w „ABC" przysłał Tyrowicz drzeworyt „Motyw z Rzymu", obniżając cenę do 8 zł.

Do Redakcji ABC

Warszawa, ul. Nowy Świat 22.

Niniejszem zgłaszam gotowość nabycia drzeworytu

....

(nazwisko autora)

....

(tytuł dzieła)

w cenie subskrypcyjnej .... zł.

W razie gdy na drzeworyt powyższy zgłosi się conajmniej 20 nabywców i redakcja „ABC" ogłosi, że tranzakcja doszła do skutku, zobowiązuję się zakupić drzeworyt po wyżej zadeklarowanej cenie.

Imię, nazwisko i zawód subskrybenta: ....

....

Dokładny adres: ....

....

Objaśnienie: Kupon powyższy należy wypełnić, wyciąć, i nadesłać do redakcji najpóźniej do dnia 22 b. m. W rubryki kuponu należy wpisać nazwisko autora drzeworytu, który pragnie się nabyć, tytuł drzeworytu oraz cenę **według informacji, znajdującej się pod każdą reprodukcją na str. 1-szej i 3-ciej dzisiejszego „ABC literacko-artystycznego".**

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYJ KSIĘGARSKICH

BAXTER G. O.: Pościg. Powieść z dzikiego Zachodu. Przełożył dr. I. P. Zajączkowski. 8° str. 287. Warszawa 1934. „Rój". Zł. 3.—.

BJÖRKSTEN ELLI: Gimnastyka kobiet. Cz. II. Systematyka i metodyka. Tłum. Jadwiga Mayówna. 8° str. 596. Kraków 1934. Nasza Księgarnia. Zł. 10.—.

BOWKIEWICZ J.: Próba sukcesyjnej interpretacji pelagofauny jezior Trockich. 8° str. 44. Warszawa 1934. Bibljoteka Polska. Zł. 2.—.

BÓBR W. inż.: Rentowność przemysłu naftowego w Polsce. 8° str. 20. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej. 0.50.

BARTEL Z. kpt.: Walka gazowa i obrona przeciwgazowa. Wyd. 5-cie przepracowane i rozszerzone. 8° str. XII i 247 z 57 rys. Warszawa 1934. Główna Księg. Wojskowa. Zł. 5.50.

BERENT W.: Nurt. Opowieści biograficzne. 8° str. 122. II 30s. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 11.—.

BOBEK P.: Przegląd dziejów chłopa polskiego. Wyd. 2-gie. 8° str. 215. Kraków 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 3.—.

BYSTROŃ JAN ST. prof.: Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI — XVIII. T. II. 246 ilustracyj w tekście oraz 32 tablice oddzielne. 4° str. 576. Warszawa 1934. Trzaska, Evert i Michalski. Zł. 50.—.

DMOCHOWSKI A. i ZIEMECKI S.: Przyroda nieożywiona. Wskazówki metodyczne dla nauczyciela. Cz. II, obejmująca program kl. VI szkoły powsz. ze 109 ilustr. 8° str. 152. Wilno 1934. K. Rutski. Zł. 2.—.

FRYDRYCHEWICZ J. inż.: Ze studjów nad harczatką sosnówką. 8° str. 35. Warszawa 1934. Bibljoteka Polska. Zł. 1.50.

GAERTNER H.: Gramatyka współczesnego języka polskiego. Cz. III. I. Słowotwórstwo. 8° str. XI i od 207 — 342. Lwów 1934. Książnica-Atlas. Zł. 4.80.

GOLDBERGER ST.: Podmiotowe prawo narodów w doktrynie i praktyce. 8° str. 26. Kraków 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 1.20.

HIRSCHBERG ADOLF dr.: Żydzi i Polska. Szkice publicystyczne. 8° str. 101. Wilno 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 2.—.

HOFMOKL ST. dr. adw.: Oddłużenie średniej własności ziemskiej czy likwidacja? Temat do dyskusji. 8° str. 35. Warszawa 1934. F. Hösick. Zł. 1.20.

JANUSIAK ZYGM.: Zasady sztuki sprzedawania. 8° str. 47. Bydgoszcz 1934. Księg. Św. Wojciecha w Poznaniu.

KRZYWICKA I.: Sąd idzie. Przedmowa M. Ettingera. 8° str. 220. Warszawa 1935. „Rój". Zł. 3.—.

KUCHTA JAN dr.: Książka zakazana jako przedmiot zainteresowań młodzieży w okresie dojrzewania. 8° str. 154. Warszawa 1934. M. Arct. Zł. 5.—.



KONSTANTY SOPOĆKO PRZEKUPKA
Wymiary oryginału 10 × 14 cm. — Cena 9 zł.



SALOMEA HŁADKI WIDOK GERLACHOWEJ
Wymiary oryginału 12.5 × 15.5 cm. — Cena 6 zł.



MARJA DUNIN BEZ PRACY NIEMA KOŁACZY
Wymiary oryginału 19.5 × 25.5 cm. — Cena 8 zł.



TADEUSZ CIEŚLEWSKI (syn) STARE MIASTO
Wymiary oryginału 18 × 13 cm. — Cena 7 zł.



WIKTOR PODOSKI KOPANIE SZPARAGÓW
Wymiary oryginału 15.5 × 10.5 cm. — Cena 8 zł.



WIKTORJA GORYŃSKA PIETA
Wymiary oryginału 29.5 × 29.5 cm. — Cena 10 zł.



STEFAN MROŻEWSKI MADONNA
Wymiary oryginału 25 × 30 cm. — Cena 10 zł.

Giovanni Papini

Skończony człowiek

(W najbliższych dniach nakładem Spółki Wydawniczej „Płomień" ukaże się wspaniała książka Papiniego: „L'uomo finito", w równie wspaniałym przekładzie dr. Edwarda Boyé. Wyjmujemy z niej fragmenty poniższe). Red.

Pannie Zofji Niżyńskiej przekład Jej ulubionej książki od Tłumacza.

Z księgi „Andante"

Przeżyłem wiek mój
Samotnie i dziko.
Ariosto

ŁUK TRIUMFALNY

Przyszedłem na świat z chorobą wielkości w łonie. Oto jedno z moich pierwszych wspomnień z czasów, gdy mogłem mieć osiem lat najwyżej. Spędzając czas samotnie, czytywałem często książkę szkolną, ozdobioną niezgrabnemi figurami i jakiemiś malarskiemi bazgrołami. Pewnego dnia natknąłem się na historję wieńczenia Petrarki na Kapitolu laurowym wieńcem. Przeczytałem tę historję kilkakrotnie... „I ja także, i ja także" — szepnąłem do siebie, nie wiedząc nawet, dlaczego poecie włożono wieniec na głowę. Wydawało mi się, że ta okrągła, marnie reprodukowana fizjonomja, ta twarz płaczliwego „sonetnika", twarz, obramiona sztywnem listowiem, uśmiecha się do mnie i dodaje mi odwagi... „Także i ja, i ja także".

Napraszałem się tak długo, aż wreszcie ojciec wziął mnie na spacer do Vial de Colli; po przybyciu na miejsce, zerwałem z niskich krzewów wiecznie zielone liście. Nie byłem pewien, czy jest to ów słynny wawrzyn, lecz nie wiele dbałem o to. Po powrocie do domu, zamknąłem się w pokoju, w którym stał koszyk z książkami. Uwiłem wieniec z liści i włożyłem go sobie na głowę; potem, zarzuciwszy na ramiona jakiś czerwony łachman, jąłem krążyć po izbie, śpiewając pieśń, która wydawała mi się niezmiernie potężna, bohaterska i uduchowiona; uderzałem przytem rękojeścią noża o skrzynię drewnianą. Zdawało mi się, że z wielką pompą wkraczam na Kapitol i że ten hałas jest niezbędnym akompanjamentem, jakgdyby porykiem rozentuzjazmowanego tłumu. W ten sposób, w szary dzień zimowy, dokonał się mój błazeński ślub ze sławą. Jednakże pierwszą przysięgę złożyłem przed sobą znacznie później, gdy liczyłem już pietnaście, czy też szesnaście lat, w parną niedzielę sierpniową, około czwartej popołudniu. Wałęsałem się samotnie i melancholijnie po jednej z najdłuższych i najszerszych ulic mego rodzinnego miasta. Trzymając w ręku dziennik, kupiony za cenę Bóg wie jakich wyrzeczeń, szedłem przed siebie, z schyloną głową, zmęczony i znudzony, zły na upał i na ludzi.

O tej godzinie ludzie, ogłupiali popołudniową drzemką, wypełzają na ulicę, łudząc się idjotycznie, że zaczerpną trochę wieczornego chłodu. Spotykałem mamki, o gębach stojących w ogniu, mamki z czerwonemi dzieciakami, beczącemi w pieluchach. Spotykałem spoconych małżonków, prowadzących pod ramię swoje magnifiki, braci, trzymających za ręce swoje siostry, spotykałem grupy młodzieniaszków, z papierosami, niedbale przylepionemi do warg, panieneczki w barwnych szalach, panieneczki o oczach błyszczących, w głębi których tają się żądze, staruszków z jasnemi parasolami pod pachą, wreszcie biednych żołnierzy, w sztywnych, jakby skórzanych uniformach i w białych, nicianych rękawiczkach. Tłum ciągle wzrastał i wzrastał, napełniając trotuary i jezdnie. Przechodzono na drugą stronę ulicy, śmiano się, zamieniano ukłony. Oczy kobiet błyszczały, niby czarne djamenty, pod kapeluszami, pełnemi kwiatów. Od czasu do czasu dwa słomkowe kapelusze, trzymane w wyprężonych ku górze rękach, powiewały nad głowami świątecznego stada.

Czułem się nieswojo. Nie znałem nikogo, a nienawidziłem wszystkich. Byłem źle ubrany, byłem brzydki, blady i wiedziałem dobrze, że nikt mnie nie kocha, że mnie nikt kochać nie może. Ten, kto mijając mnie, spojrzał na mnie, unosił we wzroku pogardę. Czasami ktoś, obejrzawszy się za samotnym włóczęgą, zaśmiał się głośno. Specjalnie okrutne względem mnie były panienki o białych ząbkach i śniadej cerze, panienki, ubrane w powiewne, białe lub czerwone sukienki. Słyszałem wybuchy śmiechu za memi plecami Możliwe, że wcale nie ze mnie się śmiały, jednakże w tych chwilach byłem pewien, że to o mnie chodzi, i dlatego też cierpiałem niewymownie.

I wówczas, nagle zbuntowałem się. Poczułem napływającą do serca falę krwi. Cała moja istota drgnęła nagle. Nie, nie — zawołałem w głębi duszy — tak być dłużej nie może! Także i ja jestem człowiekiem, także i ja pragnę być wielki i szczęśliwy! Cóż wy myślicie o mnie, wy, głupcy, co myślicie o mnie, pięknie ubrane panienki, mijające mnie z tak bezczelną obojętnością? Zobaczycie, do czego zdolny się okażę! Chcę znaczyć więcej od was, więcej od wszystkich, stanąć ponad wami wszystkimi! Jestem mały, biedny i brzydki, ale i ja posiadam duszę, a dusza ta wyda kiedyś taki krzyk że będziecie musieli usłyszeć i wstrzymać swoje kroki. Ja stanę się kimś; wy nadal pozostaniecie niczem. Uczynię coś, stworzę coś, dokonam czegoś, stanę się większy od największych, wy natomiast będziecie dalej tylko jadali, sypiali i spacerowali, jak obecnie! Gdy się zjawię na ulicy, wszyscy będą patrzyli na mnie, piękne dziewczęta będą na mnie rzucały spojrzeniem, pełnem podziwu, i ściskały z drżeniem moją rękę, poważni ludzie wysoko podnoszą kapelusze, gdy będę przechodził ulicą, ja, genjusz, ja, wielki bohater!

Myśląc tak, podniosłem dumnie głowę, pierś moja wyprężyła się, a oczy jęły spoglądać już nie z lękiem, lecz z nienawiścią i dumą na czerwone, śniade i żółkłe oblicza przechodniów. Stałem się inny i spewnością w tym momencie mogłem się wydawać piękniejszy nawet. Doszedłszy do wielkiego placu, zatrzymałem się przed Łukiem Triumfalnym. Konie kwadrygi pędziły przed siebie na tle nieba, skrwawionego zachodem słońca. Przysiągłem sobie, że muszę się stać wielki przed śmiercią.

Z księgi „Tempestoso"

„Przyszedłem, aby ogień zesłać na ziemię".
Święty Łukasz.

NATCHNIENIE

Ach, gdybyż nagle rozszalał się w mojej duszy, tak długo hamowany, gwałtem wstrzymywany, wspaniały i głęboki, potok mego natchnienia! Ach, gdyby idee trysnęły, jak fantastyczne bicze fontann do samego nieba, a uczucia i obrazy, oraz najdroższe, ostatnie słowa zaczęły padać jak deszcz, aby odświeżyć moje serce, aby pocieszyć, obudzić i zmiękczyć wszystkie serca ludzkie! O gdyby cała dusza moja stanęła w płomieniach, niby suche ściernisko, niby poręba z karczami, niby gęsty las, o gdyby myśli oświetliły niebo, jak pękające rakiety, słowa kąsały i piekły, jak ogień prawdziwy, idee buchały jak iskry spod śmigającego po papierze mego pióra, jak iskry z gorącego pnia, gdy nań spadają ciosy siekiery. Gdybymż ja mógł wreszcie oświecić i ogrzać wszystkie dusze ludzkie! Dlaczegóż mnie, właśnie mnie, który o to prosi, który pragnie, łaknie i oczekuje tego, ma być odmówiona ta radość, to szczęście i ta miłość?

O, gdybym w te dni, po tych latach niecierpliwych oczekiwań i szaleńczych krzyków, poczuł, jak się ze mnie wyrywa potok nowych słów, poczuł, jak mnie zalewa, nigdy jeszcze niewidziana, fala! Gdybyż usta moje obwieściły nieoczekiwane tajemnice, gdybym mógł odkryć cudowne obrazy, słowa, dźwięki i namiętności, jakich nigdy żaden człowiek nie odkrył i nie odczuł w sobie.

Niestety, opisuję ciągle te same historje, mówię o zwykłych rzeczach i stąpam z trudem po śladach znużonych i przeciętnych myśli! Ileż to razy o zmierzchu wieczornym, przy migocącym płomieniu świecy, lub też przy spokojnem i białem świetle nakrytej abażurem lampy, czekałem na wybicie tej boskiej godziny tak właśnie, jak czekają na piękną dziewczynę, która dała wreszcie obietnicę wiecznie oszukiwani kochankowie. Darłem strony, jeszcze niecałkiem zapełnione grubemi, czarnemi, pospiesznie pisanemi literami, przecierałem sobie oczy rękoma, idjotycznie wbijałem wzrok w jakiś punkt, lub też, jakby w półśnie, rysowałem profile monstrów i brodatych starców, a potem znowu darłem stronice, przeklinałem samego siebie i wkońcu podnosiłem się, odpychałem krzesło, odrzucałem pióro, waliłem się na łóżko, nie będąc w stanie spać, nie będąc w stanie marzyć, nie będąc w stanie zapomnieć.

Tak było sto i tysiące razy! Duch zastygał w sztywnych formach, dusza była zimna i martwa, papier biały, a sława, jak dawniej, daleka! Genjusza niema, echo nie odpowiada, natchnienie nie budzi się! Zupełny mrok, milczenie i męka!

Czegóż ja nie robiłem i czegóżbym nie uczynił dla tego, aby tylko w jakiejś przepięknej chwili móc zaznać wstrząsu, przebudzić się i usłyszeć nagle tajemny głos Objawienia. Ktoby mnie natchnął. Bóg czy demon — to nie ważne wcale! Oby tylko ktoś potężniejszy, bardziej jasnowidzący i szalony, zaczął pisać moją ręką, przemawiać memi ustami, myśleć myślami memi!

Z księgi „Appassionato"

SŁAWA

„I pytam się: Któż to poszedł
[dalej naprzód?
Ja bowiem chcę pójść jeszcze
[dalej"...
Walt Whitman.

A gdyby nawet udało mi się rzucić wam w twarz, wam, którzyście mnie prześladowali, niepokoili, śmieli się ze mnie, męczyli mnie i ignorowali, to dzieło, o którem marzyłem i którego pragnąłem — gdybym nawet rzucił wam w twarz arcydzieło, któreby napełniło łzami suche oczy wasze, zamknęło wasze bezczelne gęby, zmusiło malutkie, spokojne serduszka, te serduszka, o istnieniu których zapomnieliście już pod szlafrokiem, do mocnego bicia, gdyby, jednem słowem, udało mi się pobić was na głowę, zwyciężyć was i stratować, dzięki wszechmocnej, promiennej sile mego genjusza, to cóżbyście mi zaofiarować mogli, w jakiż to sposób postanowilibyście wynagrodzić mnie?

Wszystkie biografje wielkich ludzi pełne są waszej wdzięczności! Piękną rzeczą jest ta wasza sława — niema co gadać! Jakto? Właśnie, gdy oddaję najlepszą część samego siebie, żywy kawałek własnego ciała, najczystsze krople mej krwi, najgłębszą tajemnicę mego życia, wy nie znajdujecie nic ponadto? Umiecie trąbić o mnie tylko w swych gazetach, naprzykrzać mi się swemi wizytami i listami, wskazywać na mnie palcem, gdy wyjdę z domu, aby odetchnąć świeżem powietrzem, gdy usiądę w kawiarni albo w teatrze, nalegać na mnie, abym pisał jeszcze i jeszcze, nawet wówczas gdy nie mam potemu ochoty, nawet wówczas, gdy mogę tylko samego siebie powtarzać, umiecie tylko zwracać się do mnie z prośbami o list, sąd, autograf, artykuł, podglądać i szpiegować, gdzie chodzę, z kim żyję, co robię, umieszczać moją śliczną podobiznę w książkach i na pocztówkach! I wreszcie po mej śmierci, będziecie się ryli w moich rękopisach, publikowali tajemnicę mego życia, wyciągniecie na światło dnia nieznane jeszcze fragmenty mego życia, a potem ustawicie na środku jakiegoś rynku ohydnę kopję mego ciała, odlaną w bronzie lub marmurze.

Wiem, dobrze wiem o tem, że próżność nie jest obca także i ludziom wielkim. Czyż jednak nie ma już na świecie delikatnych i subtelnych dusz? Czy niema takich dusz, czujących się tylko i jedynie duszami, dusz, dla których podobne hołdy są tylko brudną zniewagą? Nie chcę okiasków i okrzyków, nie chcę patrzeć na gęby, rozdziawione z wyrazem zachwytu, nie chcę słuchać nieszczerych pochwał i pochlebstw fałszywych! Obdarzcie niemi wasze baletnice, waszych tłustych tenorów! Rzućcie żołędzie świniom, jeśli dla bohaterów klejnotów nie macie!...

PRAGNĘ ZŁA

Zdarzają się chwile, gdy wydaje mi się, że jest mi dobrze, zdarzają się chwile, w ciągu których czuję się szczęśliwy, gdy mi nie brak nikczemnej odwagi zapomnienia o całej podłości i męce mego życia, gdy powoli, powolutku, cicho, pocichutku, z całą hipokryzją zaczynam się wygodnie urządzać w życiu, pełnem nawyków, statecznem i spokojnem życiu waszem, o wy, moi znienawidzeni bliźni!

Jest to rzecz straszna, tak straszna, że czuję dreszcz wstrętu, przyznając się do tego.

Nie stworzono mnie dla radości, nie powinienem szukać rozkoszy. Biada mi, jeżeli rzucę się w usypiające objęcia szczęścia. Jeśli mam pozostać wierny istocie mej duszy — przysiędze — którą złożyłem, rodząc się po raz wtóry, temu paktowi, który zawarłem z życiem i śmiercią, to nie powinienem osłabiać siebie i zmiękczać mlecznym napojem zwykłych, nędznych radości istnienia.

Zbyt wiele systematyczności, zbyt wiele spokoju, zbyt wiele dobroduszności jest teraz w życiu mojem! Gdy wielu synów człowieczych nie wie, gdzie głowy skłonić, ja posiadam mieszkanie o pięciu pokojach, w starym pałacu, stojącym w pobliżu wiecznie zielonych ogrodów. Słoneczne promienie padają przez okna, a tam, wewnątrz, nie brak wygodnych łóżek do spania, wygodnych foteli do siedzenia, płytkich, oraz głębokich do jedzenia talerzy. Jestem biedny, lecz mimo to, nie odczuwam żadnego braku. Zupa dymi codziennie na moim stole, a dobrze wypieczony chleb chrzęści pod memi zębami. Ziemia daje trochę radości i tym, którzy się pragną od niej oddalić, jak marnotrawni synowie.

Teraźniejsze moje życie jest całkowicie usystematyzowane i uregulowane. Kładę się wcześnie spać, śpię do rana, żołądek mój dobrze trawi, przyjaciele odnoszą się do mnie z życzliwością, kobiety ubiegają się o moje względy, a dzieci i ludzie dorośli zdejmują czapki i kapelusze, gdy przechodzę ulicą. Wszystko jest na jaknajlepszej drodze i niczego mi nie brak. Tak, nie brak mi niczego, i wszystko jest na jaknajlepszej drodze, ale to się tylko tak wydaje tym, którzy sądzą po pozorach i mierzą innych swoją miarą.

Nie poto przecież pojawiłem się na tym świecie, nie poto zgodziłem się żyć, nie poto w ciągu dwudziestu lat nieprzerwanie męczyłem duszę moją, podobny do tego szalonego mnicha, który biczuje sobie plecy do krwi! Pozostałem na świecie tylko dlatego, że świat jest jeszcze straszniejszy, niż nicość, zgodziłem się żyć tylko dlatego, że życie jest bardziej męczące od śmierci, rozdzierałem, kąsałem i gryzłem samego siebie, dlatego, że tylko z męki rodzi się prawda, dlatego, że tylko z cierpienia powstają twory ducha. Cała muzyka — to melancholja; w głębi rozpaczy żyje jedyna rozkosz, która wstrętu nie budzi.

Nie chcę być zadowolony, spokojny, szczęśliwy, ani bogaty! Ściągam pioruny nieszczęść na moją głowę, wzywam wszystkie nieszczęścia na drogę mego życia! Niechże w paroksyźmie choroby szczękają moje zęby, niech nędza mój dom opustoszy, niech mnie zdradzi miłość, niech mnie opuszczą przyjaciele, niech robactwo pozostawi na mnie swój plugawy ślad, niech gorączka i obłęd opanują moją głowę, niech wrogowie prześladują i zwyciężają mnie, niech moi najbliżsi konają bez jęku w moich oczach! Niechże runie na mnie całe cierpienie świata! Tylko w tym wypadku będę się mógł dowiedzieć, czy jestem człowiekiem, czy też tylko szmatą, czy mnie podtrzymuje duch, czy tylko szkielet. Włosy moje siwieją, policzki stają się obwisłe, na czole pojawiają się zmarszczki, łzy kręcą się w moich oczach — to oczywiście w rachubę nie wchodzi! Tylko w rozpaczliwej samotności rosną kwiaty, których szukam, kwiaty, nigdy nie więdnące, kwiaty, które swoich koron nie kłonią, które pachną i żyją wiecznie.

Z księgi „Allegretto"

ZDOBYCIE BOSKOŚCI

Ty nie umarłaś, zbłąkałaś się jeno,
O duszo nasza, na siebie szemrząca.
Dante Alighieri

...Przeczytałem Ewangelję bez wolterjańskiego zuchwalstwa młodych lat. Zacząłem znów odwiedzać kościoły, nie poto jedynie, aby zachwycać się architekturą, oglądać obrazy na ołtarzach i freski w kaplicach. Przeczytałem Ewangelję, aby w niej odnaleźć Chrystusa. Odwiedzałem kościoły, aby spotkać w nich Boga.

Kult pociągał mnie — nietylko pięknością obrzędów i muzyką mszy śpiewanych. Coś nieokreślonego, — jakaś potrzeba wiary, potrzeba powrotu do dzieciństwa, powrotu do tego chrześcijańskiego świata, z którego wyszedłem — nurtowała we mnie głęboko, nie wyrażając się w konkretny sposób. Czytałem Świętego Augustyna, rozmyślałem nad Pascalem, wdychałem woń „Kwiateczków" Świętego Franciszka. Dotarłem aż do „Introduction à la Vie Dévote" aż do „Ćwiczeń duchowych". Czyż była to ciekawość psychologiczna, żądza wiedzy? Poniekąd tak! Prócz tego istniał jednak i ferment woli wiary, istniało pragnienie wzięcia udziału w tym ogromnym eksperymencie, który, od czasów Chrystusa do naszych dni, dał światu tyle duchowych i artystycznych arcydzieł...

Alfred Jesionowski

Nowości wielkopolskie

Jeśli chodzi o dziedzinę wydawniczą, to ruch w Wielkopolsce w porównaniu z rokiem ubiegłym osłabł znacznie. Kilka drobnych pozycyj odnosi się raczej do dziedziny filologiczno - pedagogicznej niż artystycznej. Na dwie książeczki, które się nie tak dawno temu ukazały, zwrócić chciałbym uwagę. Na jednę dlatego, że jest dowodem niespożytej siły i żywości intelektualnej starszego pokolenia pisarzy wielkopolskich *), na drugą, bo jest sygnałem ostrzeżenia **).

1. MONOGRAFJA O POLSKIEM WYBRZEŻU

Łączność pomiędzy Wielkopolską a Pomorzem była zawsze bardzo silna, o wiele impulsywniejsza, niż pomiędzy Wielkopolską a Śląskiem, mimo, że Poznańskie w czasie odrodzenia narodowego na Śląsk posyłało najlepszych swych synów dla pracy politycznej i oświatowej, dla wzmocnienia polskiego kupiectwa. Współżycie Pomorza z Wielkopolską rozpoczęło się na dobre w czasach najnowszych, t. j. od czasów odrodzenia Polski. Jedną z przyczyn tego jest to, że młodzież pomorska odbywa studja akademickie przeważnie w Poznaniu. Dokumentem dawniejszego dobrego porozumienia obu ziem jest świeżo wydana praca Piotra Palińskiego, emerytowanego inspektora szkolnego, jednego z tych niewielu odważnych, którzy za czasów pruskich śmiało się przyznawali do polskości i czynem i słowem ją krzewili. Paliński redagował przez pewien czas „Gazetę Gdańską" i dbał specjalnie o podtrzymywanie polskości w młodzieży, której wynarodowienie najbardziej groziło. Obecnie wydana monografja o wybrzeżu i Kaszubach, którą autor skromnie nazwał „Przewodnikiem", ma wszystkie wady i zalety omówionej swego czasu na łamach „ABC" monografji powiatu wągrowskiego. Jest przedewszystkiem może zanadto jednostronnie oparta na źródłach niemieckich, a prawie zupełnie nie uwzględnia bogatego dorobku Instytutu Bałtyckiego oraz poważnych prac polskich historyków. Napisana jest niezmiernie żywo i zajmująco, uwzględnia mnóstwo podań, legend, powtarza znane i przynosi wiele nowych, któreby inaczej były może zupełnie zaginęły. Po krótkim zarysie historji Pomorza rozpoczyna autor swą wędrówkę po wybrzeżu. Punktem wyjścia jest Hel. Śledzimy wędrówkę autora od wioski do wioski, o każdej ma autor coś do powiedzenia, gromadzi skrzętnie wszelkie wiadomości na temat danej miejscowości, jakie potrafił zebrać z literatury i tradycji ustnej.

Po krótkim opisie historyczno-geograficznym podaje autor rozmaite legendy i opowiadania, przeplata je wierszami różnych autorów, ożywiając tem znakomicie swój barwny przewodnik. Rozmaite uwagi aktualne nadają tej książce barwę czegoś osobistego, jakby pamiętnika, wskutek czego cała książka staje się czemś bliskiem i milem. Sędziwemu autorowi należy się szczery podziw i uznanie za tę zajmującą monografję.

2. „WIOSENNY PLON JEGO KWIATÓW..."

Zbiorkiem wierszy Ryszarda Jastrzębskiego (p. t. Średniowiecze) nie zajmowałbym się wcale, gdyby nie wyszedł, jako tomik Bibljoteki Wsi Wielkopolskich, których rozwój uważnie śledzę, których sukcesami się raduję. Wszędzie zdarzy się jakiś lapsus, i „Wiciom" się zdarzył, tylko trzeba go zaraz przygwoździć, by się nie powtórzył. Szczerze wyznam, że zupełnie nie rozumiem, dlaczego „Wici" firmowały te niezmiernie słabiutkie wierszyki bez głębi w treści, banalne w formie i ekspresji. Możemy poczekać na dobrą poezję, jeśli jej narazie w Wielkopolsce niema, nie trzeba koniecznie wierszokletów na gwałt patentować. Ot np. wydać tomik wierszy młodego poety poznańskiego Leonarda Turkowskiego, gdzie talent się zapowiada rzetelny, lub Zdzisława Groka, także obiecujący dużo poeta poznański. Ale wiersze pana Jastrzębskiego nie trzeba było wydawać. Nie pomogą im nawet ilustracje niewymienionego artysty. Nie pomogą także sentymentalne dedykacje umieszczone nad poszczególnemi wierszykami. Jedyny wiersz w tym zbiorku, o którymby dyskutować można, to wiersz ostatni p. t. „Już nie średniowiecze", ale perłą to on także jeszcze nie jest. „Wiosenny plon jego kwiatów" (patrz dedykację na wstępie) powinien się był odleżeć i po pewnym czasie autor byłby się sam przekonał, że się do druku nie nadaje.

A teraz szybko wydać Turkowskiego lub Groka, by zatrzeć niemiłe wrażenie i naprawić opinję.

P. S. Po tych uwagach będzie p. Stefan Przybylski z „Piasta" znów miał materjał dla swego, zresztą ciekawie redagowanego dodatku regjonalnego.

---

*) **Piotr Paliński:** „Przewodnik po polskiem wybrzeżu Bałtyku i po ziemi kaszubskiej". Cz. I. Nakł.: A. Wachowiaka. Gdynia, 1934. Str. 205.

) **Ryszard Jastrzębski: „Średniowiecze" (wiersze). Bibljoteka „Wici Wielkopolskich". Tom VI. A. Pągdzyński. Września, 1934. Str. 30.

L. Ciechanowiecka

Człowiek na maskaradzie

Rozmowa z Perzanowską

Gdyby tak na bal maskowy wszedł nagle ktoś bez maski, w codziennem ubraniu — toby karnawałowe maszkary poczuły się nieswojo. Przeszedłby szmer przez tłum lalek — „wszedł człowiek". I odrazu zobaczonoby, że wszystko jest ponurą zabawą, a ci co w niej biorą udział są — pajacami, zgrywającymi się na wesoło. Z Perzanowską jest, jak z tym „człowiekiem", co wszedł na maskaradę. Podczas rozmowy z nią miałam ciągle niepokojące wrażenie, że ze świata teatralnej złudy, z tłumu malowanych lal wyszedł żywy człowiek. I cała rozmowa przybrała osobliwy charakter — było tak, jakby dwie nieznajome osoby zaczęły nagle szczerze ze sobą mówić. Szczerość jest trudną sprawą — żyjemy wszyscy we mgle, wysławiamy się z trudem, jak w narkozie — gdy się chce mówić szczerze, to trzeba się zdobyć na wysiłek, przedrzeć się przez otaczające nas opary utartych, zdawkowych frazesów, — w takich razach i słów brak i dech zapiera. Spoczątku były długie pauzy, szukało się słów tych najistotniejszych, żeby się wzajemnie zrozumieć.

— Właściwie ja nie pojmuję — wywiad — no, tak — ale poco to? — zapytała mnie poprostu. — Ja doprawdy nie wiem, co się w takich razach mówi.

I zaraz odczułam całą bezdenną banalność tak zwanych wywiadów z głośnemi osobami. Te rozmówki ollendorfskie wydały mi się gwarzeniem papug.

— Kiedyś zjawił się ktoś u mnie (to był mój pierwszy wywiad) w teatrze, gdy reżyserowałam „Ulicę", i zapytał mnie, „z czem publiczność powinna przychodzić do teatru?" Powiedziałam to, co mi na myśl przyszło — „z pieniędzmi". Wyśmiano mnie w teatrze: „Ty nigdy nie będziesz prawdziwą gwiazdą".

Spotkałyśmy się w skromnej kawiarence. Wszystko było inaczej, jak w wywiadach — ani upozowanej na nowoczesną piękność artystki, w nowoczesnym buduarze, ani kapliczkowego nastroju. Ot — zwykły stolik kawiarniany na werandce ażurowej — i czarnowłosa pani, w berecie, otulona w burkę sławacką, z zielonym szalem na szyi. Ani śladu różu — świeża cera, rozumne zielone oczy pod ciemnym łukiem brwi — nadają twarzy zatroskany wyraz.

Na pierwszy rzut oka niktby się nie domyślił, że ta dyskretnie ubrana, może trochę rubasznie wyglądająca pani, o czarnych niefryzowanych włosach, jest aktorką. Mogłaby naprzykład być dyrektorką szkoły, albo uczoną — nawet — niech się tylko nie obrazi — kierowniczką kołchozu. Bije od niej spokojna energja, ale usta prześlicznie zarysowane i kształtne białe ręce, o wypukłych, różowych paznogciach — mają czar kobiecości. Ona musi być mądra i dobra — chciałoby się mieć taką siostrę, jak ona. I odrazu zaczynam wyciągać wnioski, które później okazują się mylne — wydaje mi się, że Perzanowska jest antytezą Dulskiej, ma ten sam rozpęd—tylko nie niszczycielski, lecz dobroczynny, że, jako reżyser, musi być niesłychanie wszechstronna, praktyczna — taka, co to i o premjerze pamięta i o kolacji, ma na wszystko czas, zna się na poezji i na buchalterji.

— Nic podobnego — powiada, śmiejąc się — jestem zbyt c a ł k o w i t a. Praca reżyserska tak mnie pochłania z głową i nogami, że mi już nie starczy czasu i pamięci na tysiące osobistych spraw. To nawet dziwne — podobno wykazuję zdolności organizacyjne, gdy chodzi o teatr, a na innych terenach — choćby gospodarstwo, czy kwestja ubrania, czy rachunkowość — czuję się obco, jakby w innej sferze, nic mnie nie obchodzącej. Nasz księgowy powiada mi kiedyś: „Nie powiem, że pani jest kretynką, ale trzeba przecież trochę się rozumieć na pieniądzach". A ja mu na to — Gdybym się tem zajęła, to też już tak całkowicie, że może byłabym niezłym księgowym, a w domu gospodynią.

Na pytania, odnoszące się do jej pracy reżyserskiej, odpowiada z namysłem, jakby szukała „prawdziwych" słów, gardząc banałami

TEATR — KOSMOSEM.

— Dla mnie teatr, to jedyny realny świat, który znam i kocham. Wszystko, co się dzieje poza teatrem, wydaje mi się czemś nieistotnem. Wszystko porównywam z naszem życiem.

Reżyserski zawód dlatego mnie bierze, że ja od dzieciństwa miałam jedną pasję — obserwowania człowieka. Każdy człowiek jest dla mnie ciekawym, nieznanym światem. Dlatego może tak mi odpowiada zawód aktorski i reżyserski — naprzód, bo mogę wcielać się w postacie, zaobserwowane w życiu, a po drugie — bo mogę z szarego człowieka wykrzesać choćby na chwilę, choćby na czas jednego przedstawienia utajone talenty, ukryte możliwości. Przecież to rozkosz dostrzec nagle przeobrażenie się kogoś niepokaźnego, jakby się go budziło ze snu do bujnego życia.

— Nie jestem uczonym człowiekiem. Kończyłam wprawdzie egzamin reżyserski i wiele wtedy doznałam dowodów życzliwości od egzaminujących mnie artystów — ale mówiąc szczerze — mam ja swoją domorosłą filozofję prosty chłopski rozum — i nim się kieruję.

W szaro - zielonych oczach płoną ogniki — na gładkie policzki wystąpiła łuna rumieńca.

— Widzi pani — ja miałam bardzo ciężkie, trudne dzieciństwo. W czasie wojny, jako czternastoletnia dziewczyna, musiałam myśleć o domu, miałam mnóstwo trosk i codziennych kłopotów. Szła wiosna — trzeba było jakoś się przyodziać. Tak sobie wtedy kombinowałam — bez palta nie wyjdę, a bez szalika i rękawiczek można się obejść. Dzisiaj — ten sam system stosuję, reżyserując sztukę. Naprzód trzeba jej dać to, co najważniejsze — dobrze zgrany zespół. Potem dopiero sztuka zamożnieje — gdy już ma... palto. Zbieram wszystko do kupy, w niedoskonałej formie, a później myśli się o ozdobach i dodatkach. U nas w teatrze Jaracza już tak jest — że choćbyśmy mieli z głodu umrzeć, nie wolno wystawić źle wyreżyserowanej. sztuki. Więc każda nowa premjera, to przeżycie.

— Jakie kto miał dzieciństwo — takim będzie w pracy ,artystycznej. Im było trudniej — tembardziej będzie uparty, czujny i ceniący rzeczy według ich prawdziwej wartości. Myślę — że dobrze zagrana sztuka może ostatecznie obejść się bez wykwintnej oprawy, bez dekoracyj, bez kostjumów. „Wystawa" nie może być celem — tylko środkiem.

Oparła twarz na różowej, atłasowej dłoni i podnosi wysoko czarne brwi. Na czoło wystąpiły dwie poprzeczne zmarszczki. To jej nie wzrusza. Roześmiałaby się, gdyby jej ktoś powiedział, że artystki powinny unikać zbędnej mimiki, która „źle robi na cerę".

— Teatr nasz niema pretensji do doskonałości. Można mu wiele zarzucić — ale jedno jest pewne. Kierujemy się sercem, a nie konjunkturą, główną naszą troską nie jest zysk materjalny.

Niema tam nic przypadkowego; „nasz teatr" (mówi to takim tonem, jakby mówiła o kimś najbliższym), jest ubogi, a w ubogiem mieszkaniu powinien być przedewszystkiem porządny stół, czysto zasłane łóżko i stołek—później dopiero można myśleć o tapetach i kaktusach w lalikowskich wazonach. Wszystko musi być w takim biednym teatrze celowe i porządnie przygotowane. W innych teatrach, bogatych, zasobnych, zadufanych w sobie, gdy sztuka chwyci — przygotowuje się następną leniwie, obojętnie, bez pośpiechu. U nas już za cztery tygodnie musimy dać coś nowego i coś lepszego.

— Początki mojej „karjery" — karjera — śmieszne słowo. Piętnaście lat już mija... Tak. Tak. Prawie pół jubileuszu.. Ja jestem wychowanką Reduty. Niedoceniana się Osterwy — reżysera. Wszystko, co o nim się mówi, to jakieś salonowe komunały — że uroczy, że się w tej czy innej kochał — a nie mówi się o tem, że on stworzył pewien typ zespołu artystycznego, opartego na solidarności, na wzajemnem zrozumieniu i szczerem umiłowaniu pracy aktorskiej. Gdy się ktoś u nas wysunął — to słyszał — „Dobrze grałeś, jesteś taki sam, jak wszyscy". Przyzwyczajałam się do pracy bezimiennej, bez programów z nazwiskami. Dzisiaj, gdy mi Osterwa powie krótko — „Pracuj dalej, tak jak pracujesz" — to mi wystarcza za największy komplement.

Później, po czteroletniem pobycie w Reducie, pojechałam, jak to mówią „na swoje" do Wilna i Krakowa. cztery lata temu zdałam egzamin reżyserski w Warszawie, „Dom Otwarty" wystawiono w Łodzi. Pamiętam, jak Borowski powiedział mi — „Nie pojmuję, że się pani podjęła reżyserować sztukę tak zimną, w której występowali słynni starzy artyści, a pani ją obsadziła młodymi". Ja na to — „Dać im pięćdziesiąt prób, to się zestarzeją". Później po premjerze powiadam Borowskiemu — A widzi pan, że się zestarzeli, wyciągnęło się z nich talent".

— Nie, ja nie mam ambicji wychowywać pokoleń aktorskich — dodaje, uśmiechając się — los nas wyręcza. Dojrzewa wszystko, co ma dojrzeć — choćby podlewano gryzącym kwasem. Jest w tem fatalizm — który ja nazywam Opatrznością, bo jestem wierząca. Ale są tacy, którzy przez czas dłuższy nie ujawniają swych możliwości. I ja należę do tych, co nie mieli błyskotliwego losu w teatrze. Teatr, to loterja, to wyścigi — nieraz bohaterem dnia staje się fuks, nieznany nikomu. W teatrze nie można się wywyższać — upajać chwilowem powodzeniem, bo może w jednej chwili minąć. Tam niema szarych, nieważnych ludzi — każdy może w pewnej chwili wysunąć się na czoło zespołu. Tylko dajcie mu okazję.

— Otóż Jaracz — ma właśnie to, że umie z szarego człowieka wykrzesać płomień zapału. Jest w nim tyle żaru, tyle ognia, że starczy na cały zespół. Jest tak bezinteresownie rozmiłowany w teatrze. Nieraz ludzie mówią — Jaracz dyrektor? — Jakto — człowiek niepraktyczny, nie znający się na „finansach" — Czemżeż on kieruje? Otóż Jaracz tchnie ducha w swój teatr. To chyba dość. Gdy przyjdzie na próbę i powie jedno tylko zdanie — „To już było z dziesięć razy powtarzane" — albo — Jabym się wstydził tak odezwać" — to wystarcza, żeby zelektryzować wszystkich. Każda jego uwaga jest, jak błysk reflektora. Teatr Jaracza ma jedną cudowną cechę — Reduta łączyła ludzi spokrewnionych duchowo, rozumiejących się — tymczasem teatr Jaracza wznosi się dosłownie u zbiegu ulic. Wchodzi tutaj każdy, kto nam jest potrzebny — i staje się na czas pewien członkiem rodziny aktorskiej. Potem — gdy zrobił swoje, żegnamy się z przykrością, jak w rodzinie, ale z nadzieją rychłego spotkania. Jak w nowoczesnych rodzinach. Pokolenia wychowują się pomimo rozwodów, bez tradycji, bez poczucia ciągłości życia rodzinnego, a jednak są związane węzłem krwi. U nas niema skostnienia, sztuka się klei, tworzy się nowy zespół, a gdy konjunktura nas do tego zmusi, rozchodzimy się — lecz pozostaje nierozerwalny łańcuch, nie papierowego kontraktu, lecz włożonego kapitału pracy. A tak się nam jakoś (niech ja odstukam) dziwnie dobrze dzieje. Ta „Pani Dulska" — to niedowiarv. Przychodzi mnóstwo ludzi, jakaś zupełnie swoja, artystyczna publiczność, czasami przysiągłbyś, że przyjeżdżają starzy ludzie z głuchej prowincji i śmieją się do łez i biją brawa takie, że aż się wierzyć nie chce, że to szczere.

DEMON GŁUPOTY.

— Jak się pani czuje w skórze Dulskiej?

— No cóż — to też było ryzyko. Koledzy mówili mi — ona zupełnie inaczej była grana przez „tamtych" — Co ja na to poradzę (wzruszenie ramion), kiedy ja „tamtych" w Dulskiej nie widziałam. Gram ją tak, jak ją rozumiem. Każdy z nas ma przecież w swojem otoczeniu, bliższem czy dalszem przynajmniej ze dwie Dulskie — wystarczy tylko się przyjrzeć tym demonom głupoty. Bo Dulska—to demon głupoty. Taki demon może tyleż zła i zamieszania narobić, co demon gatunku, czy demon zemsty. Chodzi o skutek — Dulska w skutkach jest katastrofalna, ale nie może być złowroga z wyglądu. Ja o niej sobie myślę: „ona jest aż demoniczna" — i uśmiecham się. Ten uśmiech jest konieczny, bo przecież Dulska nie zdaje sobie sprawy ze swego okrucieństwa, jest nieświadoma własnej mocy, wali naprzód, jak nieprzytomna, i dlatego jest śmieszna. Aż dziwimy się powodzeniu — myśleliśmy, że to będzie dwa tygodnie tej zabawy, że będą niemodną Dulską „chepać", a tymczasem okazało się, że tak jak i kołtuństwo codziennego życia jest wieczne, taksamo nie gaśnie nasze złośliwe zainteresowanie się kołtuństwem. Człowiek lubi oglądać własną niedolę na scenie i mścić się — śmiejąc się z niej. Zarzucają mi, że moja Dulska nie jest dość zła — jakby głupota nie była równie niszczycielską siłą, jak złość.

PERZANOWSKA W TRZECH OSOBACH

Podczas premjery miałam lekki obłęd — aktorka żarła się z reżyserką. Jedna myśli o własnej roli, druga śledzi innych i drży, czy aby fortepian odezwie się na czas, czy lampa się nie spóźni. Reżyserka Perzanowska obserwuje spodełba aktorkę Perzanowską i krytykuje ją, a kobieta — Perzanowska nadrabia miną i udaje, że jest arcyspokojna, opanowana, „męska". W tem sęk, że jako kobieta, nie mogę folgować nerwom tamtych dwóch, co we mnie siedzą — bo niech tylko zacznę histeryzować, powiedzą — „no, oczywiście — to nie zajęcie dla kobiety — baba". Trzeba trzymać się.

Ale proszę pani — dodaje nagle z pewnym niepokojem — czy to warto o tem wszystkiem pisać, poco się tak wystawiać na widok publiczny? Mnie się wydaje, że teatr, to najważniejszy odcinek życia, mówię o nim, jak o własnym domu, ale czyż ludzie żyjący z tamtej strony muru, mają ten sam punkt widzenia? Cóż ich obchodzi wywiad z aktorką, zatrutą teatrem. Bo my jesteśmy zatruci. Czy wie pani — że nawet, gdy jestem u dentystki, a ta mi tłumaczy o walce mikrobów pod uszkodzoną plombą, to sobie to w tejże chwili transponuję na teatralne przeżycia. Mam córkę dziewięcioletnią: myśląc o niej, wydaje mi się, że życie, co ją czeka, jest teatrem pełnym zasadzek i niespodzianek, niebezpiecznych a nęcących, że powinna tak samo się przygotowywać do niego — jakby miała kiedyś zagrać odpowiedzialną rolę. Czasami ktoś rzuci oderwane zdanie — „Tam na świecie mówią o tobie, tak a tak" — i nagle uświadamiam sobie, że mój wszechświat teatralny, to jeden z maleńkich odcinków życia ludzkiego, że jest tysiąc ważniejszych placówek i większych spraw — ale uwierzyć jakoś w to nie mogę...

Położyła ręce na stole—a mnie się nagle wydało, że to są ręce fluidalne. Gdyby je sfotografować na seansie spirytystycznym — okazałoby się, że promieniują. Tak Perzanowska — promieniuje silnem, dobroczynnem ciepłem. Nie dziw, że nawet w teatrze — w domu cieni i złudy — za jej sprawą maski nabierają życia, a papierowe drzewa okrywają się kwiatami.

Zdzisław Broncel

Martwo urodzone

„Żółte koszary. Bezimienne istnienia. Tyle ich. W każdem większem mieście. Zamknięte światy. Trzymają na uwięzi dusze. Ludzie odchodzą od nich na cmentarz, lub na wojnę".

„Tyle ich — tych domów. Wybijających sobie w trudnościach prawo istnienia. Gdy wtargną w życie obcych — budzą wstręt, gdy wtargną do literackiej pracowni — budzą litość, w teorji socjalistycznej — budzą gorliwość: zająć się, kształcić, wywindować, zmienić".

„Oni drwią z tych uczuć — ludzie żółtego domu. Mają swój własny świat, taki dobry jak każdy inny, dla nich najlepszy. Mają swoją etykę, swoje wzloty, swoją dumę. Gdy życie nadarzy sposobność odejścia ze studziennego graniastosłupa pod drobną płachetką nieba — żółty dom oczarował ich dusze — wracają doń, przyprowadzają swe dzieci. Ludzie żółtego domu odchodzą od niego tylko na wojnę, lub na cmentarz".

W tem zakończeniu powieści Marceliny Grabowskiej o „Żółtym domu"*) uderza, zamierzona wprawdzie przez autorkę, ale nieznośna dla czytelnika, anonimowość tła, anonimowość bohaterów, bezbarwność zdarzeń.

Trudno o zdarzenia niezwykłe wtedy, gdy daje się typowy obraz życia w czynszowej kamienicy, nabitej od rana do nocy gotowaniem, praniem, wrzaskiem dzieci i kłótniami mężczyzn — lecz wśród rzeczy szarych dla ludzi patrzących zdaleka, ten kto patrzy zbliska i swoiście, znajduje kolorową nić. Nić cierpienia, miłości, zmienne przędziwo losu, znaki życia i śmierci. Grabowska podkreśla nieraz, mówiąc w książce wprost od siebie, ową rozmaitość żółtego domu ukrytą pod powierzchowną monotonnością. Grabowska jakgdyby chciała schwytać czytelnika za rękę, zatrzymać i powiedzieć: przyjrzyj się uważnie, patrz, ile tu spraw doniosłych i ciekawych.

Zamiar się nie udaje. Spoza wszystkich komplementów o kulturze literackiej, o talencie umiaru i taktu, jakie możnaby powiedzieć autorce, wyjrzy wkońcu wstydliwie tajone wrażenie nudy.

W literaturze mamy teraz frontowy atak snobizmu proletarjackości i zbiorowości. Biednego czytelnika osaczono tak ze wszystkich stron, krytycy wszelkich barw tak łopatą w głowę kładli mu o doniosłości społecznej książki o szarym człowieku, kino i teatr ciągle wygrywało kartę „kamienica", „hotel", „wielkie miasto", że w rezultacie nikt nie ma odwagi podnieść głowy i powiedzieć, że karmią go nudą.

Oczywiście nie znaczy to, by nudny był temat społeczny, albo żeby na miejsce robociarza domagać się w powieści powrotu hrabiów i książąt. Idzie o co innego. Nuda wieje nie z tematu, tylko ze sposobu ujęcia tematu.

O życiu „Żółtego domu" można napisać pasjonującą powieść. Jednak do tego trzebaby przełamać te kanony, które właśnie postawiła sobie Grabowska.

Kanon pierwszy: niedopuścić, ażeby pewni ludzie stali się figurami centralnemi. Kanon drugi: stonować całość obrazu, okryć woalem, nie wyjaśniać motywów działania bohaterów, przedstawić całość tak, jak widzi się przy spokojnem, rejestracyjnem patrzeniu z zewnątrz. Kanon trzeci: nie pozwolić uczuciu na rozpanoszenie się — wyjałowić książkę z namiętności, z siły przeżycia, z walki.

Zbiorowość żółtej kamienicy nie jest związana niczem, poza wspólną listą lokatorów na bramie i stosunkami sąsiedzkiemi. Dlatego właśnie jest anonimowa i nudna. Autorka z jednej strony idąc pod względem formalnym za współczesnym prądem literackim, z drugiej—nie dostrzegła w przedmiocie, jaki uczyniła treścią powieści, niemal nic ze współczesności. W powieści, „Żółty dom" stoi jakby poza społeczeństwem, nie przedziera się tam żaden głos dzisiejszego świata. „Żółty dom", nie walczy, nie żąda, nie skarży się, nie marzy, lecz wyłącznie żyje — gnije.

Bohaterzy „Żółtego domu", nawet ci najwyraźniejsi, jak dziewczyna Luba i tragarz Franek, są ludźmi napisanymi, a nie stworzonymi. W ich żyłach nie ma prawdziwej krwi. Czujemy jakiś brak — niby brak jednego jeszcze wymiaru przy fotografji. W spojrzeniu Grabowskiej, bez perspektywy, w obrazie przeraźliwie płaskim, napróżno szukamy punktów oparcia, punktu wyjścia — owego początku, któryby mógł nas do „Żółtego domu" zbliżyć.

W akcji Franka i Luby Grabowska zupełnie usunęła motywy. Czyny tej pary są dla nas niezrozumiałe, psychika nieodgadnięta. Zresztą cóż mówić o psychice, gdy właściwie owe figurynki demonstrowane są raczej, jak chińskie cienie, niż ludzie.

Tragiczne losy Luby przepływają przez tok powieści, jak — brudna woda rynsztokiem, mętnie, ciężko, szlamiście. Harmonizują pod tym względem z całością. Poza fakturą zdarzeń nie odczuwamy uczuć, poza ludzkiemi maskami nie odnajdujemy przeżycia, poza fasadą „Żółtego domu" nie spotykamy gromady, mającej własną, odrębną wymowę.

A ta wymowa w rzeczywistości jest. „Żółty dom", to nie bajoro beztreściwych godzin; „Żółty dom" — ten z życia, a nie z powieści, jest niesłychanie zgęszczoną syntezą środowiska, syntezą życia wielkomiejskiego, czasem dosadnym konturem obyczajowości robotnika wykoszlawionego, wyzutego z chłopskiego, polskiego zdrowia, czasem za[illegible] ciekawego obyczaju żydowskiego.

Grabowska jakgdyby czuła, że daje w swej książce nie życie zbiorowe, ale zsumowanie historji szeregu jednostek, pozbawionych własnej osobowości na tę intencję, żeby broń Boże, nie zepsuły konstrukcji powieści usiłującej złączyć sprawy „żółtego domu" w samoistną jedność.

Powstała w ten sposób książka o bezcielesnych bohaterach — zabierając im indywidualność, Grabowska nie zastąpiła jej przeżyciem społecznem. Ludzie z „Żółtego domu" nie żyją ani sami, ani razem. Tego nie uda się zagadać — nie naprawią tej pomyłki liczne w książce wypowiedzi Grabowskiej, reklamującej intensywność zbiorowego życia w owej żółtej kamienicy. Efekt jest żałosny: w ciągłej konferensjerce autorka zachwala swój towar, a potem „rzeczywistość skrzeczy".

Powieść Grabowskiej jest typowem zainstalowaniem literackiego warsztatu na modnym terenie biedoty i kolektywu. Powieść o „Żółtym domu" powinien pisać albo jego mieszkaniec — wtedy da prawdziwą tęgą miazgę treści, albo pisarz, widzący w czynszowej kamienicy ilustrację jakiegoś problemu, chwytający w tym temacie sposobność wyłożenia swego poglądu na człowieka.

Do tej roboty nie można iść z pustemi rękoma. Nie wystarczy przynieść notes i pióro i z „Żółtego domu" zrobić „rzecz poprawnie napisaną".

*) **MARCELINA GRABOWSKA: „Żółty dom".** Powieść. Str. 262. Warszawa. Tow Wyd. „Rój".

S A T Y R A

Dziady część III A

napisali: Bolesław Wstydliwy i Hipolit Gnuśny

P R O L O G

KRZYWOSZEWSKI

Mam być wolny? — tak! nie wiem, skąd przyszła ta zmiana,
Lecz ja znam, co być wolnym za czasów Szyfmana.
Choć nie będą mnie więzić w świecie tym kajdany,
Ale z moich teatrów — ja jestem wygnany!

(wstaje i pisze węglem z jednej strony)

D. O. M.
STEPHANUS
OBIIT MCMXXXIV

(Z drugiej strony):

HIC NATUS EST
SZYFMANUS
MCMXXXIV

(Wspiera się na oknie — usypia).

B A L U S A N A T O R A

(Wydany z okazji objęcia władzy na teatrami przez T. K. K. T.)

HRABIA

Tańczy sanator, czy widzicie,
Ej sowietniku, pójdźmy w tan .

SZYLLER

Uważaj, czy to przyzwoicie,
Byś ze mną tańczył Pan.
Pewnie Pan znajdzie kilka dam.

HRABIA

Ależ nie o to idzie rzecz!
Już wolę sobie tańczyć sam.

SZYLLER

Chociaż ja jestem sowietnikiem,
Karmi mnie z ręki Arnold Szyf,
To nie zatańczę jednak z nikim,
Kto niema oficerskich szlif!

(Do majora Jasińskiego).

Pójdź, Pułkowniku, pójdźże w taniec,
Ah! quelle beauté, quelle grâce!

JARACZ
(zza drzwi):

Jaki tam gadał obszarpaniec?
Żeby go piorun trzasł!

(Piorun trzaska. Robi się zamieszanie, z którego korzysta Miriam i zaczyna przemawiać:)

MIRIAM

Samotność — cóż po ludziach, czym mówca dla ludzi?
Gdzie człowiek, co mej mowy do końca wysłucha?
Nieszczęsny, kto francuskim głos i język trudzi.
Senność myśl mą pochłania i tak drży nad myślą,
Jak Kaden nad połkniętą niedawno posadą...
Z ruchu warg mych głąb myśli czyż ludzie odgadną,
Co mówię, czy się domyślą?

Depcę was wszyscy poeci,
Wszystkie Brauny i Pro-roki,
Których znałby świat szeroki,
Gdyby wszystkie pochwały i wszystkie oklaski,
Jak Kaden sobie urządzali,
Nie czuliby własnego szczęścia, ani znali,
Jak ja dziś czuję w tej uśpionej sali,
Kiedy mówię sam sobie.

Tak nudny jestem, nudny i leniwy,
To jest cecha wymarzona
Godna Pomirowskiego Leona.
Zdejmę frak mój i tylko jak duch wezmę pióra...
Potrzeba mi „Pionu",
Wylecę z mego krzesła nad salą uśpioną,
Pójdę w Aleje, gdzie „Pionu" jest biuro.

A nuda ma, na jednym nie spocznie człowieku,
Jak owad na róży kwiecie.
Ja nudzę cały naród jak Grubiński w „Świecie".

Tę władzę, którą mam nad przyrodzeniem
Wywieram na ludzkie dusze
Nie jak premjer — szablą, słowem,
Nie pieśniami — to za trudno,
Nie talentem, duchem, głową,
Tylko nudą — nudno... nudno...

(do Kadena)

Daj mi władzę. Jedną część jej lichą.
Część tego, co już dawniej zdobyła twa pycha,
Z tą jedną cząstką, ilebym ja stworzył!?
Wszystkichbym do snu ułożył.

Milczysz! Milczysz! Wiem teraz, jam się teraz zbadał,
Zrozumiałem, czem tyś jest i jakoś ty władał.
Przyjrzałem się tobie:

Kłamca, kto ciebie nazywa talentem,
Jesteś Strugiem i Berentem
W jednej osobie!

(Kaden znudzony zasypia)

CHÓR DOWCIPNISIÓW

Gdy cię Miriam pokonała,
My nad marzeniem namiętnem
Stoimy jak lilja biała
Schylona nad źródłem mętnem.

W I D Z E N I E K A D E N A

KADEN (przez sen):

Awans! — to do mnie — dobre wiadomości! —
Własnoręczny, — ha! ha! ha! — złotych sto tysięcy.
Order! — gdzie — Breiter przypnij — tu. Tytuł książęcy!
A! — A! — Wielki marszałku; a! — pękną z zazdrości.

(przewraca się)

W Belwederze przedpokój — oni wszyscy stoją;
Nienawidzą mnie wszyscy, kłaniają się, boją,
Marszałek — Grand Controleur — ledwie poznasz w masce.
Ach! jakie lube szemranie,
Dokoła lube szemranie:
Kaden dziś w łasce, w łasce, w łasce, w łasce.
Ach! Niech umrę, niech umrę wśród tego szemrania;
Jak wśród nałożnic moich łaskotania!
Każdy się kłania,
Jestem duszą zebrania.
Patrzą na mnie, zazdroszczą — nos w górę zadzieram
O rozkoszy! Umieram, z rozkoszy umieram!

(przewraca się)

Ach Marszałek! — Co? Do mnie odwraca się tyłem,
Tyłem, a! Sanatory, dworskie urzędniki!
Ach umieram, umieram, pochowany, zgniłem,
I gryzą mnie „Wiadomości", plotki, „Cyruliki".

(spluwa)

Jaki dźwięk! — To kalambur — O, brzydka „Mucho!"

(opędza koło nosa)

Lata mi koło nosa,
Jak osa.
I epigramy, żarciki, przytyki...

CHÓR DOWCIPNISIÓW

Teraz duszę ze zmysłów wydrzem, jak z okucia
Psa złego; lecz niecałkiem, nałożym kaganiec,
Na wpół zostawim w ciele, by nie tracił czucia;
Drugą połowę wleczmy aż na świata kraniec.
I złe psisko uwiążem tam na pograniczu,
Tam pisuj, ręko jego! Tam powstań, zły kiczu!
Nim trzeci kur zapieje, spotka go los zły, gdy
Będzie więcej coś robił, prócz pisania Bigdy!

Akademumje literatury



Rys. Zygmunt Jurkowski

Very

Wiadomości bieżące

Upór w Operze

WARSZAWA, 14. 10. (tel. wł.). Powszechną panikę wywołuje tu zatarg p. Dygasa z Operą. Jak wiadomo obecna kierowniczka Opery p. Korolewicz Waydowa nie stosuje się wcale do przepisów ZASP-u, które nakazują angażować do teatru tylko członków tej organizacji. Zamiast żądać legitymacji ZASP-u, p. Waydowa każe facetowi śpiewać przy fortepianie. Rzecz prosta, iż rozwścieczony p. Dygas, prezes ZASP-u, wszczął energiczną akcję. Dziś, o godzinie 12 w południe przedstawiciel ZASPU wręczył p. Korolewicz Waydowej ostre ultimatum z terminem dwugodzinnym. O godzinie 2 pp. p. Dygas przesłał drugie ultimatum, datowane w Kwaterze Głównej na górce u Semadeniego, grożące ogłoszeniem bojkotu Opery. O godzinie 4 pp. p. Dygas przysłał trzecie ultimatum, grożące ogłoszeniem opery „Bojkot". O godzinie szóstej nadeszło nowe ultimatum, grożące zabronieniem artystom i artystkom Opery grania w karty pod rygorem zawiadomienia Komisarjatu Rządu. O godzinie 8-ej wieczorem panika w Warszawie doszła do szczytu: p. Dygas zagroził, że zabroni grać w pliszki, w kukso i w guziki. O godzinie 10-ej p. Dygas przysłał ultimatum, że odśpiewa klątwę Eleazara z „Żydówki" pod adresem Opery. O godzinie 12 p. Dygas odśpiewał klątwę. O godzinie 2-ej po północy p. Dygas sam się przebrał za Żydówkę i odśpiewał arję „Siekiera, motyka, piłka, deska". O godzinie 4-ej rano p. Dygas wlazł na chór. O godzinie 6-ej zaczął przygotowywać coś strasznego.

Kierowniczka Opery wciąż potrząsa głową, odpowiadając: „Man kann singen, man kann tanzen, aber nimmer mit ZASP-ancen".

Janusz Minkiewicz

Aktualja

Smutne nastały czasy. Codzień jakaś tragedja wstrząsa Europą. Dzienniki przepełnione są alarmującemi wieściami. Czytelnicy biorą gazetę z uczuciem grozy. Co z tego wyniknie? Co będzie dalej? Jak to długo potrwa? A już szalę zmartwień przechyliło ostatnie, najtragiczniejsze wydarzenie. Wydarzenie o zgubnych następstwach dla całego świata, dla Polski, dla Europy. Oto pisma czarnemi literami ogromnych tytułów obwieszczają nam hiobową wieść:

KUSOCIŃSKI NADWYRĘŻYŁ KOLANO!!!

Po alarmującej nowinie posypały się dalsze, coraz bardziej niepokojące:

KUSOCIŃSKI PRZEZ ZIMĘ NIE BĘDZIE MÓGŁ BIEGAĆ!!!

NOJI NASTĘPCĄ KUSOCIŃSKIEGO!!!

No, i potem znany aforyzm: „Le roi est mort, vive le roi!".

Tymczasem ogłaszane są razporaz biuletyny o stanie zdrowia króla bieżni:

KUSY U RENTGENOLOGA!

RENTGENOLOG U KUSEGO!

W STAWIE KOLANOWYM WYSTĄPIŁA WODA!!!

Powódź pogłosek. Wylew w kolanie. Woda w stawie...

Pech. Wszyscy się zastanawiają:

— Czemu tak jest, że choroba rzuca się na to, co w człowieku jest najbardziej cennego? Bo takie wypadki powtarzają się przecież w społeczeństwie niezwykle często. Tylko nie przechodzą do ogólnej wiadomości, bo zdarzają się ludziom nieporównanie od Mistrza mniej ważnym. Naprzykład politykom, literatom...

A przecież i oni mają swe choroby zawodowe, jak zawodnik Kusociński, który w zawodach doznał takiego zawodu!

Czemu prasa nie alarmuje opinji, że pewna literatka, która jest zbyt płodna w walce z płodnością, choruje niewątpliwie na zaburzenia seksualne? Że znów inna cierpi na sexen-schuss? Że akademicy literatury są chorzy na śPIONczkę? Że komuś tam jeszcze funkcje mózgowe nie dopisują, przeszkadzając mu niemniej, niż Kusocińskiemu w wypełnianiu swoich normalnych zajęć?

I dlaczego gazety, pisząc o chorobie Kusocińskiego, nie podają wiadomości o stanie zdrowia tego posła, który choruje na padaczkę przed swymi zwierzchnikami? Dlaczego nie piszą o pewnym prezydencie miasta, który zaaplikował sobie wycięcie Wyrostka robaczywego? Czemu nie podają biuletynów o przebiegu choroby pewnego bussinesmana, chorującego stale na odrę — w znaczeniu: „odrę wszystkich z forsy!"?

Takich kilka głupich pytań przychodzi na myśl w czarnym tygodniu Europy.

— oOo —

Dobre rady pani Zofji

Pannie Helusi Zarembiance:

Przeczytałam w gazecie list Pani, opisujący te rozdzierające sceny, jakie się działy w sanacyjnym Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet. Chociaż nie zwracała się Pani do mnie o poradę, byłam tak głęboko wzruszona treścią tego listu, że czytałam go ze łzami w oczach, ja, która czytuję codziennie tyle listów, zroszonych łzami i dyktowanych przez ludzką niedolę.

Droga Panno Lusiu. Chciałabym bardzo Pani coś poradzić, ale doprawdy nie wiem, od czego zacząć, taka jestem tem wszystkiem zdenerwowana.

Otóż po pierwsze intuicja mi mówi, że w tym liście wiele rzeczy Pani przemilczała i nie dopowiedziała, przez wrodzoną kobiecą delikatność. Już taka jestem, że umiem czytać między wierszami.

Zanim tedy posłużę Pani dobrą radą, pozwolę sobie odtworzyć cały przebieg tych okropnych wypadków, tak jak je widzę oczyma mej duszy.

A więc panie: Weysingerówna, Bałaganówna, Strzelińska, Herminjowa, Baranowa, Konopścińska, Wachtlarska, Wrońska i inne, zakradły się o świcie do Związku wraz z dryblasem, podającym się za ślusarza, i nacisnąwszy drzwi z zewnątrz przy jego pomocy, wyważyły je z zawiasów. Rygle, zatrzaski Yale i łańcuch nie wytrzymały i pękły pod naporem kobiecych ciał. Tłum rozjuszonych kobiet, z uzbrojonym w łom i wytrychy drabem na czele, wtargnął do związkowego lokalu. Dreszcze przebiegają po mnie, gdy o tem piszę, biedna Panno Lusiu, ileż musiała Pani przeżyć w tej jednej krótkiej chwili.

Potem pani Baranowa ustawiła Panią „pod stienkoj" z rękami do góry i zagroziła śmiercią w razie piśnięcia lub poruszenia.

Za Panią stał ów drab z tępem narzędziem mordu w zaciśniętej dłoni. Zapewne czuła Pani na plecach chłodny dotyk ostrza dżagana. (Ach! cóż za potworny zbieg okoliczności, przecież Pani nosi to samo imię i nazwisko!).

Tymczasem panie Herminje, Bałaganówny, Wachtlarskie, Weysingerówny i inne Gorgonowe, zabrały się do rozpruwania związkowej kasy z ważnemi dokumentami. Czyniły to zapewne t. zw. „rakiem". Domyślam się, wszak nie nadarmo sprowadziły draba z odpowiedniemi utensyljami.

A później usiłowały Panią przekupić 25 złotemi, zrabowanemi z Pani własnego biureczka.

Obrzydzenie zbiera na samą myśl o tej bezczelności. W razie krzyku wtłaczano Pani w usta zakatarzoną chustkę do nosa, nie dziwię się, że Pani zemdlała. Wyobrażam sobie, co za okropny obraz spustoszenia toczył się przed Pani oczyma, po przebudzeniu.

Biedna Panno Lusiu. Sprawa jest prosta: Napad z bronią w ręku, usiłowanie zabójstwa w celach rabunkowych plus kradzież z włamaniem. To wypada mniejwięcej po 5 lat na osobę z uwzględnieniem tej jedynej okoliczności łagodzącej, że były to panie z towarzystwa. Może się Pani zatem i powinna domagać wymiaru sprawiedliwości, oddając tę sprawę do prokuratora. Czas najwyższy ukrócić w wolnej i mocarstwowej Polsce wszelkie warcholstwo i samowolę. Nie po to my, kobiety, wymaszerowałyśmy w świat spod naszych doniczkowych oleandrów i wywalczyłyśmy sobie niepodległą Polskę, aby teraz służyła za teren dla tego rodzaju niedojrzałych eksperymentów.

Trzeba rozpalonem do białości żelazem wypalić zarażone miejsca.

Musimy ponadto, droga Panno Lusiu, domagać się stworzenia specjalnych obozów odosobnienia dla sanacyjnych pań z towarzystwa i natychmiastowego izolowania sprawczyń napadów od reszty zdrowych organów naszego społeczeństwa.

Te słowa dyktuje mi moje obywatelskie poczucie sprawiedliwości. Niestety, jest jedno małe, malutkie „ale", nad którem trzeba się poważnie zastanowić. Przecież to są jednak kobiety, takie same jak Pani i ja, droga Panno Lusiu.

Niejedna z nich napewno jest matką i karmi własną piersią takie małe różowe maleństwo. Trzeba być surową, ale nie okrutną.

Usiłuję znaleźć w mem sercu jakieś usprawiedliwienie dla ujawnionych tym razem sprawczyń, ale niestety nie znajduję. Gdyby teraz była wiosna, no to co innego. Złożyłabym to wszystko na karb psychicznych zaburzeń, które zazwyczaj wiosną budzą się w kobiecie, ale przecież teraz mamy późną jesień... Naprawdę jestem w kłopocie. A może... może to ta praca w Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet, ta wytężona praca nad podniesieniem kobiety do wyżyn ideału tak wyczerpała i rozstroiła tym paniom nerwy. Doprawdy, nie wiem, co o tem wszystkiem myśleć.

Panno Lusiu najsłodsza, jestem bezradna. Decyzja w wymiarze sprawiedliwości nie jest rzeczą tak łatwą, jak się to nam, kobietom, nieraz wydaje. Widocznie potrzeba do tego czasami właśnie owej surowej męskiej bezwzględności.

A zatem, Panno Lusiu, powzięcie decyzji w sprawie dalszych poczynań, pozostawiam do namysłu Pani mądremu i bijącemu gorąco serduszku. Proszę o mnie nie zapominać i napisać zaraz o tem, jak Pani zadecydowała. Ale koniecznie szczerze i wyczerpująco, bo strasznie jestem ciekawa. Pa!

Z. J.